Opłata ryczałtem

Cena 40 groszy.

RACJONALISTA

MIESIĘCZNIK

ORGAN WARSZAWSKIEGO KOŁA INTELEKTUALISTÓW POLSKIEGO ZWIĄZKU MYŚLI WOLNEJ

ROK II WARSZAWA—SIERPIEŃ—1931 № 8

Myśl Wolna nie jest doktryną,
jest metodą swobodnego myślenia.
F. Buisson: Deklaracja
Myśli Wolnej.

TADEUSZ KOTARBIŃSKI

Miłe złego początki.

Miłe złego początki, lecz koniec żałosny. Trudno lepiej zastosować tę utartą gadkę, niż wtedy, kiedy się monituje jurnego młodzieńca. Istotnie, budzący się w chłopcu instynkt męski prze ku czynom nieroztropnym, naraża na choroby, ciężką odpowiedzialność, na kryminalne pokusy, korci do uczestnictwa w nienajlepszem towarzystwie, wypłasza skąpy grosz z kieszeni, odwodzi od bieżących obowiązków i t. d. Natura, dając młodemu nową siłę, czyni go zarazem pohopnym do szaleństwa. Trudno o połączenie bardziej niebezpieczne. To też byłoby stronniczem i lekkomyślnem, gdyby się nie uznawało pewnych niezaprzeczonych zalet wychowania katolickiego w tym względzie. Kościół nakazuje młodzieży trzymać na wodzy

wyobraźnię erotyczną, sprzeciwia się podniecaniu niewczesnych zachcianek przez artefakty sztuk plastycznych treści ekscytującej, powstrzymuje młodzież z całą stanowczością od praktyk seksualnych, sublimuje popęd rozrodczy, kierując jego energję w łożyska kultu, samokształcenia, akcji społecznej — a często nawet bohaterstwa, przedłuża nieraz okres życia w zupełnej wstrzemięźliwości i broni swoich lojalnych wychowanków od przedwczesnej ekspansji, rozprzężenia i cynizmu. Wszystko to prawda. A jednak i do pedagogów kościelnych można trafnie zastosować przysłowie o miłych złego początkach. Środki bowiem, które wprowadzają oni w czyn, noszą w sobie zarodki zła i mszczą się później.

Przedewszystkiem — obrzydza się młodzieży obcowanie cielesne, piętnując je jako nieczystość i korzystając w tym celu z urządzenia natury bardzo wprawdzie ekonomicznego, lecz niewymownie przykrego: mamy na myśli sąsiedztwo i częściową wspólność narządów płciowych i narządów wydalania. Do dziś pokutuje w wychowaniu katolickiem duch, który ukształtował ascezę w pierwszych wiekach chrześcijaństwa. Oto co pisze o tych czasach Bertrand Russell w śmiałej a mądrej książce p. n. „Małżeństwo i moralność“ (przekład Heleny Bołoz-Antoniewiczowej, Warszawa 1931, str. 40 nast.): „Kościół potępił kąpiel, wychodząc z założenia, że wszystko, co czyni ciało bardziej pociągającem, zmierza do grzechu. Brud był szanowany, a odór świętości stawał się coraz bardziej przenikliwy. «Czystość ciała i ubioru świadczy o nieczystości duszy», mówiła św. Paulina (Havelock Ellis. Studies on the Psychology of Sex, vol. IV, str. 31). Wszy nazywano bożemi perełkami, a obfitość ich była nieodzowną oznaką świętego męża.“ Dalej następuje wyjątek z „Historji moralności w Europie“ Lecky'ego: „Św. Abraham pustelnik nie mył twarzy i nóg od chwili nawrócenia aż do śmierci, to jest przez 50 lat... Sylwja dziewica, mimo, że miała sześćdziesiąt lat i nabawiła się choroby naskutek swoich praktyk, stanowczo odmówiła, ze względów religijnych, umycia czegokolwiek prócz palców“ (Tamże, str. 41).

„Oczywiście — pisze Russell dalej — podobne poglądy na płeć musiały uczynić życie seksualne czemś nie-

okrzesanem i brutalnem..." (Tamże, str. 42). Rzecz jasna, że zbliżenie miłosne musi być czemś istotnie nieczystem dla ludzi, którzy się nie myją. To samo możnaby powiedzieć o pocałunku ust, jeśli się właśnie znajdują w sąsiedztwie zakatarzonego nosa lub jeśli się ich nie umyło po spożyciu śledzia.

Dużo z tej awersji zostało w dzisiejszych poglądach sfer katolickich na stosunek płciowy. Jest to przedewszystkiem jakaś rzekomo nizka koncesja ducha na rzecz „grzesznego ciała" (co zresztą, wtrąćmy nawiasem, możnaby śmiało rozciągnąć na picie, spanie, ruch z potrzeby ruchu i t.p.), coś w zasadzie ujemnego, co może być uprawnione tylko w charakterze zła koniecznego — niczem drastyczny zabieg lekarski, czy to dla wyzwolenia się od stanu pożądliwości, czy to dla przysporzenia potomstwa; ale co jest niby zawsze pogardy godnem jako dzieło bezpośredniego upodobania. W takiem mniej więcej usposobieniu utrzymuje się młodzież.

Przychodzi wszelako chwila małżeństwa. Obcowanie męża i żony ogłasza Kościół z kolei za coś nie tylko uprawnionego. lecz i uświęconego. Jednakże nie tak łatwo teraz przejść od poprzednich nastrojów do nowych, a oceny wdrożone każą widzieć w małżonku lub małżonce wspólnika brudnych praktyk. Asceza bądź co bądź pozostaje ideałem, a ksiądz bezżenny — przypomnieniem tego ideału. Tu znowu okazja wielokrotna do załamań moralnych. Widzi się przecie i wie, jak obłudnie ta sprawa stoi w Kościele, sprawa rzeczywistego celibatu księży, i jak dalece dyskredytuje ona całą etykę seksualną Kościoła. A dalej owo związanie prawa do uścisku i prawa do macierzyństwa z małżeństwem, tą nader wadliwą instytucją, nie zasługującą bynajmniej na takie uprzywilejowanie. W środowisku religijnem piętno hańby czeka dziewczynę, która zaufała bez ślubu mężczyźnie i urodziła z nim dziecko. Ba, nawet dziecko takie, jako nieślubne, bywa pospolicie przedmiotem pogardy. Dzieciobójstwa, podrzucanie niemowląt, potajemne, nieumiejętne i zabójcze nieraz wskutek fuszerki spędzanie płodu (w kolizji z prawem, które pozostawia do wyboru hańbę za macierzyństwo lub więzienie za uchylanie się od niego), trucie się ługiem w braku kosztowniejszych środków samobójstwa... toć to zwykły poczet zdarzeń codziennych

z rubryki wypadków — nawiasem mówiąc, niegodnie wyzyskiwanych dla sensacji i opisywanych z podaniem nazwisk w moralnych gazetach. Tego poniżenia i tych otchłani rozpaczy współwinowajcami są wychowawcy katoliccy, którzy z obcowania nieślubnego robią grzech śmiertelny. Odpowiadają oni też pośrednio za prostytucję, skoro wobec przemożnych sił natury zmuszają pośrednio do korzystania z niej. Bo i cóż mają robić ci mężczyźni, zdrowi i normalni, dla których droga obcowania małżeńskiego jeszcze lub już jest zamknięta, a z którymi żadnej uznanej możliwości obcowania pozamałżeńskiego ortodoksja nie dopuszcza, grożąc kobiecie potępiepieniem. Ci otrzymują jedyną radę, radę wstrzemięźliwości. Dobre to do czasu i znośne na stałe dla pewnych typów, niekoniecznie zawsze najtęższych. Wskazanie tej drogi pozostałym zakrawa na sarkazm okrutny. W niejednym przypadku rozwód ratowałby sytuację. Ale temu właśnie Kościół zasadniczo się sprzeciwia — nawet jeżeli małżonkowie są bezdzietni a obrzydli sobie do szczętu, nawet jeżeli wskutek zmian fizycznych obcowanie stało się dla jednej lub obu stron wstrętnem, nawet jeżeli jedno z małżonków ulega obowiązkowej izolacji z powodu działania siły wyższej. Wedle Kościoła bowiem co Bóg złączył, tego ludzie nie rozłączą. Głosi się takie patetyczne aforyzmy, odpowiadające poglądowi Kościoła na małżeństwo jako na sakrament. Młodzież wychowuje się przytem w tym przesądzie, że związek małżeński wymaga nie tylko rejestracji cywilnej, lecz nadto błogosławieństwa bożego, i że to dopiero odzwierzęca stosunki naturalne między małżonkami. Rzecz sprowadza się, oczywiście, bynajmniej nie do błogosławieństwa bożego, tylko do zezwolenia kapłańskiego, które sankcjonuje za ustaloną taksę zarówno prawdziwą miłość jak ukartowany interes. Imię Boga potrzebne jest po to, aby salwować pozór niezbędności kapłana. Jest on zaiste niezbędny tylko dla tych, którzy uprzednio w tę niezbędność uwierzyli. Na szczęście istnieją różne wyznania i kapłani różnych wyznań. Jedni uznają te zobowiązania, których nie uznają inni, i odwrotnie. Pozwala to na praktykowanie owych bardzo rozpowszechnionych kontredansów wyznaniowych, owego przechodzenia z jednego wyznania na drugie (z przekonania oczywiście... przekonania o niezbędności takiego kroku wobec irracjonalnych oporów i

uporów sfer kapłańskich). Na szczęście, powiadamy, inaczej bowiem ślub, w szczególności ślub katolicki, akt zawarcia małżeństwa zasadniczo nierozerwalnego, symbol i przykład powszechnego w katolicyzmie skostnienia, byłby aktem zaprzedania się w niewolę wzajemną. I znowu można tutaj zastosować przysłowie: miłe złego początki, lecz koniec żałosny. Kiedyż państwo wyzwoli się nareszcie od kurateli kapłańskiej w rzeczach małżeństw! Kiedyż wreszcie przejdzie do przeszłości paradoksalna sytuacja, polegająca na tem, że o sprawach życia płciowego decyduje kongregacja kawalerów, którym to życie, wedle statutu tejże kongregacji, nie ma prawa być znane z ich własnego doświadczenia? A taki stan rzeczy panuje w społeczności katolickiej. Nie spodziewajmy się zbyt wiele po sakramentach: sakrament małżeństwa nie organizuje życia płciowego, podobnie jak sakrament kapłaństwa nie organizuje płciowej wstrzemięźliwości.

Uprzytomnijmy sobie choćby palącą kwestję środków zapobiegawczych i regulacji potomstwa. Ileż tu zbędnych trudności stwarza wychowanie kościelne i nierozumne skrupuły religijne. Jak bardzo Kościół staje się współwinnym nędzy rodzin robotniczych, obarczonych masą mizernej progenitury. Jak potężną barykadą kładzie się Kościół wpoprzek drogi postępu, nie pozwalając ani pouczać ludzi prostych o środkach ochronnych przeciwko poczęciu ani doradzać stosowania tych środków, i podtrzymując usposobienie wrogie względem reform prawnych w tej tak drażliwej dziedzinie.

Nie, katolicyzm nie daje dojrzałych wskazań dla życia seksualnego i wychowania seksualnego ludzi współczesnego świata. Nie wmawiajmy w młodzież zasadniczej grzeszności i nieczystości związku między kobietą a mężczyzną. Nie mąćmy jasnej myśli o tych rzeczach ułudą urojonych sakramentów. Zaprawiajmy ludzi młodych do dawania sobie rady w plątawie zawiłych stosunków, zaprawiajmy do krytyki doktryny, stwarzającej sytuację bez wyjścia... i zadowolonej z tego. Niech młodzi wiedzą, że zapobiec poczęciu równie jest mądrem często i wskazanem, jak zapobiec zaziębieniu (przez odpowiedni kostjum, a nie przez powstrzymanie się od podróży). Niech umieją tak się pokierować, by nie płodzić dużo dzieci,

lecz spłodzone starannie wychowywać. Niech nasze dzieci, kiedy podrosną, wezmą się do ulepszania praw, a nie do obstawania przy bronionym przez Kościół a bardzo złym status quo. Nie dość jest wychowywać dzieci tak, by były grzeczne. Trzeba je wychowywać tak, by nie powstało później piekło dla dorosłych.

JÓZEF LANDAU.

Osmoza kultur.

Zapomnijmy na chwilę o naszych specyficznie polskich bolączkach i zadajmy sobie pytanie, czy wogóle możliwem jest takie ustosunkowanie się wzajemne dwuch lub trzech narodowości, żyjących obok siebie, lub wspólnie w jednym kraju, które wykluczałoby między niemi zbyt ostre tarcia, wywołujące wzajemną nienawiść. Historja daje nam przykłady takiego współżycia, coprawda — niezbyt częste. Jeszcze dzisiaj mamy w Europie państwo, Szwajcarję, gdzie niemcy, francuzi i włosi żyją obok siebie w największej zgodzie i przyjaźni, złączeni wspólnemi interesami i sentymentem, który oparł się nawet wpływowi najzjadliwszej nienawiści narodowej podczas wielkiej wojny europejskiej. Częstsze wszakże są objawy dyfuzji narodów: zupełnie odmienne społeczności ludzkie, różniące się między sobą pochodzeniem, językiem, religją, kulturą, zlewają się ze sobą całkowicie, tworząc po pewnym czasie pośrednią grupę społeczną — nowy naród, nowy język, nową kulturę. Tak stało się z rzymianami, którzy w połączeniu z plemionami germańskiemi utworzyli naród włoski, tak z konglomeratu celtów, rzymian, sasów i normandczyków powstał naród angielski.

Gdyby narody, wchodzące w skład tej nowej mieszaniny społecznej, nie chciały żadną miarą wyzbyć się bodaj częściowo swej odrębności, mielibyśmy może dziś jeszcze w Wielkiej Brytanji ostrą walkę między celtami a normanami — i dwie słabiutkie kultury narodowe; dzięki rozsądkowi anglo-sasów mamy obecnie jeden wielki naród o wysokiej kulturze, której wpływ na cały świat ucywilizowany nie ulega żadnej wątpliwości.

Jeszcze bardziej uderzający przykład możliwości podobnej dyfuzji dają Stany Zjednoczone Ameryki Północnej: anglicy,

holendrzy, niemcy, francuzi, włosi, żydzi, polacy, rosjanie, szwedzi, przedstawiciele różnych ras, narodowości, plemion, stopili się w jeden wielki naród o wspólnym języku, wspólnej kulturze, wspólnych ideałach.

Nie wchodząc w tej chwili w rozbiór szczegółowy warunków, które umożliwiły wytworzenie się podobnych syntez społecznych, podkreślamy z naciskiem, że powstawanie nowych organizmów społeczno-państwowych z oddzielnych, nieraz wręcz odmiennych, części składowych jest zjawiskiem znanem w historji świata. Z tego więc punktu widzenia nie przerazi nikogo myśl, poruszona przez prof. Kotarbińskiego w artykule p. n. „Barjery wyznaniowe" („Racjonalista", Nr. 6, czerwiec 1931). Asymilacja wzajemna polaków i żydów, zamieszkujących dolinę Wisły, jest, zdaje się, nakazem chwili, i mogłaby się stać niezmiernie ważnym czynnikiem pracy państwowotwórczej. Zresztą w pewnej mierze, pomimo głośnych protestów z obu stron, ten proces wzajemnej asymilacji już się odbywa: wielka liczba małżeństw mieszanych począwszy od frankistów, udział żydów w życiu politycznem i społecznem Polski, począwszy od 63 roku, wreszcie ich udział poważny w rozwoju ekonomicznym kraju — wszystkie te czynniki wpłynęły w wysokim stopniu na upodobnienie się umysłowości obydwóch narodów. Pod tym względem odbywa się zupełnie prawidłowa osmoza poprzez błonę nienawiści rasowych i religijnych i procesu tego żadne nawoływanie do zachowania „odrębności i czystości kultury narodowej" wstrzymać nie zdoła.

Istnieją niewątpliwie poważne przyczyny, opóźniające ten proces asymilacji. Jedną z najpoważniejszych przyczyn podkreślił słusznie Autor wzmiankowanego artykułu: jest nią wyznaniowość, nietylko ta rzeczywista, religijna, która przecież nie przeszkodziła żydom zasymilować się z francuzami, niemcami, anglikami i innemi narodami chrześcijańskiemi, ale wyznaniowość zewnętrzna, policyjna, dążąca stale i świadomie do ciągłego akcentowania odrębności i utrudniająca w wysokim stopniu współżycie obu narodowości. Takie — już sztuczne — barjery wyznaniowe stawiane były między polakami a żydami przez zaborczy rząd rosyjski, w którego interesie leżało wytworzenie jaknajbardziej zaognionych stosunków wśród ludności kraju Nadwiślańskiego. Zaznaczyło się to w całym szeregu praw, specjalnie skierowanych przeciw możliwości zbliżenia się żydów do polaków. Przypomnijmy sobie tylko wprowadzenie w Rosji Centralnej „linji osiadłości", wskutek czego olbrzymie masy żydów rosyjskich zalały Królestwo Polskie, jątrząc ludność miejscową odrębnością językową i kulturalną. Przypomnijmy sobie nakaz umieszczania na szyldach

pełnych imion w ich brzmieniu żydowskiem, aby wytworzyć antagonizm wyznaniowy wśród kupców i odbiorców. Doprowadzało to do takich absurdów, że gdy kupiec przypadkiem nosił imię i nazwisko o brzmieniu polskiem, policja zmuszała go do umieszczania na szyldzie adnotacji „żyd". Przypomnijmy sobie wreszcie wszystkie przywileje gmin wyznaniowych żydowskich, należenie do których było bezwzględnie obowiązkowe, i stałe odmowy rządów rosyjskich na kilkakrotne podania, składane w rozmaitych okresach czasu, w sprawie zakładania postępowych gmin żydowskich z językiem urzędowym polskim.

Przyznać należy, że polityka Moskwy dopięła celu w dużej mierze. Wzajemna niechęć między polakami a żydami wzrastała z roku na rok. Tradycje wspólnych dążeń i wspólnych walk przeciw zaborcom zanikały. Antysemityzm zupełnie jawny i antygoizm starannie ukrywany, lecz niemniej silny — oto pierwsze owoce polityki rządowej rosyjskiej. Tym odruchom niechęci poczęły się przeciwstawiać dopiero w ostatnich dziesięcioleciach zeszłego wieku zwarte kadry partyj socjalistycznych. Nawet pozytywizm liberalny nie potrafił się ustrzec od błędu myślowego, polegającego na identyfikowaniu obrony wolności z obroną problematycznej „czystości kultury" (Świętochowski i odżydzanie Towarzystwa Kultury Polskiej). Ba, pamiętamy zresztą i proces „odżydzania" Polskiej Partji Socjalistycznej, popieranej przez długie lata przez najlepsze elementy ludności żydowskiej!

Słowem, podczas gdy kultura polska nieświadomie przesycała się elementami żydowskiej umysłowości, podczas gdy ludność żydowska również nieświadomie, przynajmniej w dużej części, przesycała się kulturą polską, na powierzchni tych prądów mieszanych tworzyły się coraz silniejsze fale wzajemnej niechęci, odrazy i pogardy.

Powstanie niepodległego państwa Polskiego, niestety, nie wiele zmieniło w tym układzie stosunków. Dotychczasowe rządy nasze, poza oficjalnem równouprawnieniem wszystkich obywateli, a więc i żydów, nie zrobiły ani kroku dla usunięcia tych barjer, które tak chytrze zostały postawione przez zaborców. Kościół żydowski jest dziś jeszcze silniejszy, niż dawniej, gminy wyznaniowe żydowskie korzystają z pomocy magistratów miejskich dla windykowania samowolnie nakładanych składek (niesłychane nadużycie, utrzymujące się jedynie w Polsce!), występowanie z gmin wyznaniowych, jakkolwiek tolerowane, nie zostało dotąd uprawnione, natomiast stale powtarzająca się odmowa urządzenia miejskiego cmentarza

dla bezwyznaniowców, zaprowadzenia dla nich ksiąg stanu cywilnego i t. d., utrudnia do ostateczności zerwanie więzów z wszelkiemi organizacjami wyznaniowemi. Jak dalece rząd dba o interesy gmin wyznaniowych żydowskich, dowodzi najlepiej niedawne rozporządzenie, uprawniające zarządy tych gmin do skreślania z listy wyborców tych jednostek, które będą przez nie uznane za nieprawomyślne pod względem wyznaniowym, przy jednoczesnem wszakże pozostawieniu ich na liście płatników podatkowych tejże gminy! Niemniej ciekawe jest stanowisko sądów polskich, stale odmawiających żydom, wnoszącym o zmianę imienia, błędnie wpisanego do metryki przez pół-analfabetę urzędnika stanu cywilnego. Opowiadał nam niegdyś prof. Baudouin de Courtenay, że był wzywany niejednokrotnie do Sądu Okręgowego w charakterze eksperta w podobnych sprawach; napróżno jednak zaświadczał, że Lejba — znaczy Leon, Josek — Józef, Jankiel — Jakób, lub Duwed — Dawid. Autorytet profesora widocznie nie wystarczał, gdyż na kilkanaście spraw zaledwie jeden raz Sąd raczył się zgodzić na przywrócenie właściwego brzmienia imienia.

Również niechętnie odnoszą się sądy do zmiany nazwisk. Znana jest przyczyna nadawania niemieckich nazwisk żydom; czynili to urzędnicy pruscy w czasach Księstwa Warszawskiego, nic więc dziwnego, że z żydów polskich robili niemców. Dziś zmiana nazwiska, o ile nie jest hańbiącem, pociąga za sobą takie koszty, że na przyjemność podobną może sobie pozwolić tylko bardzo zamożny człowiek. Stąd znowu sztuczna barjera, dzieląca ludność kraju widomie na „skich“ lub „iczów“ i na „bergów“ lub „sonów“.

Fakt śmieszny, ale prawdziwy: podczas okupacji niemieckiej rząd zaborczy wyraźnie oświadczył, że nie pozwoli na uszczuplenie w kraju swego „stanu posiadania“, t. zn. na polonizację obywateli, noszących piękne niemieckie nazwiska i mówiących djalektem niemieckim. A rządy polskie, objąwszy władzę po okupantach, usiłują iść widocznie na rękę sąsiadom i czynią wszelkie możliwe trudności tym żydom, którzy pragnęliby upodobnić się zewnętrznie do otoczenia polskiego.

Nie należy lekceważyć tego objawu: psychologja człowieka jest już taka, że — z niewielkiemi wyjątkami — żyd o polskiem imieniu i nazwisku łatwiej i chętniej spolonizuje się, niż wtedy, gdy samo brzmienie jego imienia odstrasza od niego współobywateli.

Ale największym błędem polityki państwowej polskiej jest bezsprzecznie uznanie wyznaniowych szkół żydowskich za równoznaczne ze szkołami powszechnemi. Ten błąd ciężko po-

mści się na układzie stosunków społecznych w naszym kraju. Tym tyglem, w którym Stany Zjednoczone stopiły najróżnorodniejsze elementy w jedną potężną całość narodową, była właśnie szkoła powszechna, jedna i jednakowa dla wszystkich. W Polsce utrzymują się nadal zróżniczkowanie wyznaniowo-szkolne na tem samem terytorjum. To, co ma najzupełniejsze uzasadnienie dla odmiennych narodowości, wchodzących terytorjalnie w skład państwa Polskiego, jak ukraińcy, białorusini, lub niemcy, zastosowane do grup wyznaniowych — staje się zupełnym illogizmem. Znać tu odrazu wpływ ideologji watykańskiej, która przecież otwarcie żąda oddzielnych szkół dla katolików, a oddzielnych dla protestantów, prawosławnych i żydów, aby dzieci kacerzy nie wpływały ujemnie na pobożność dzieci prawowiernych. Może leży to w interesie Watykanu, ale napewno nie pomoże do konsolidacji państwa Polskiego, które liczy około 40% nie-katolików rzymskich, a powinno w imię ustalenia swego bytu dążyć do posiadania 100% obywateli, rozumiejących się i szanujących się wzajemnie.

Szczupłe łamy naszego pisma nie pozwalają na obszerniejsze wywody. Może jeszcze powrócimy kiedyś do kwestji, co jest ważniejsze: czy utrzymanie w czystości kultury narodowej drogą walki z współobywatelami, czy też wspólna praca nad zwiększeniem dóbr kulturalnych kraju. Narazie pragniemy tylko podkreślić, że sztuczne przeważnie różniczkowanie obywateli naszego kraju opiera się w dużej mierze na podstawach wyznaniowych. Metody zatem wolnomyślicielskie, któreby kształtowały przyszły układ społeczny, bezwątpienia wpłynęłyby niezmiernie dodatnio na rozwój poczucia obywatelskiego w Polsce.

K. D.

Pokłosie z wycinków.

W artykule p. t. „Haniebny czyn aspiranta policji", wydrukowanym w „Dzienniku Poznańskim" (z dn. 13 III. 27) opisany został rzeczywiście haniebny czyn zgwałcenia bezbronnej kobiety przez kierownika jednego z podmiejskich komisarjatów policji w Poznaniu.

W artykule tym m. in. czytamy co następuje: „O wyzuciu z wszelkich uczuć etycznych i moralnych aspiranta P. świad-

czy fakt, że gdy wręczono mu rewolwer celem wyciągnięcia wniosków z czynu niegodnego munduru oficera policji, odpowiedział cynicznie: O jedną kobietę nie myślę się strzelać, wolę sąd"...

Dla zdrowego etycznie człowieka jest oczywistem, że mamy tu z dwoma czynami nieetycznymi do czynienia: ze „zgwałceniem" oraz z „wręczeniem rewolweru". Niewątpliwie owo „wręczenie rewolweru" wyszło z grona współkolegów, oficerów policji. To ich postępowanie wytłumaczone być może wzburzeniem powstałem w korporacji, więc tłem psychicznem, nastrojami ludzi bezpośrednio dotkniętych.

Fakt zgwałcenia — pisze autor (cz) artykułu — „świadczy... o zwyrodnieniu niektórych członków społeczeństwa i jest świadectwem ogólnego obniżenia się uczuć etycznych. Czyny podobne trzeba ostro napiętnować oraz jasno i po męsku nazwać rzecz po imieniu. Ludzie, którzy podobnych czynów się dopuszczają, są szubrawcami i trudno bronić ich imienia przez fałszywą wstydliwość. Z faktu powyższego nie wolno jednak nikomu wysnuwać wniosków, któreby obniżały godność i honor stróżów bezpieczeństwa"...

Nad „wręczeniem rewolweru" autor przechodzi do porządku: uznaje, widocznie, sprawę tę za... etyczną. Prawda, z ostatnio przytoczonego ustępu domyślać się można, że artykuł ten pisał człowiek korporacyjnie zainteresowany. Zrozumieć to, coprawda z trudem, możemy... Ale jak zrozumieć, by człowiek korporacyjnie niezainteresowany i uświadamiający sobie, że przecie tego rodzaju czyny, jak ów popełniony przez owego aspiranta, nie mogą być generalizowane korporacyjnie — nie zdawał sobie sprawy z nieetyczności czynu „wręczenia rewolweru"?...

Więc w organie, podkreślającym stale swą katolickość, nie znalazł się nikt ktoby nie skreślił lub nie zaopatrzył odpowiednią uwagą propozycję popełnienia samobójstwa... Czyżby etyka katolicka, na którą się tak często „Dziennik Poznański" powołuje, godziła się z podobnem postępowaniem? Nie mówię już o wrodzonem każdemu poczuciu sprawiedliwości, które domaga się nie tylko stwierdzenia winy, lecz również i kwalifikacji, oceny i wymiaru kary...

*

* *

Z powodu encykliki Piusa XI „O małżeństwie chrześcijańskiem“ ks. Fr. Mirek, docent socjologji na Uniwersytecie Poznańskim, wydrukował w „Dzienniku Poznańskim“ szereg artykułów (styczeń 1931 r.), streszczających i komentujących ową encyklikę. W spisie treści jednego z tych artykułów (nr. 12) czytamy: „Dzieci rodzą się nie dla rodziców, ani nie dla państwa“, w tekście zaś—takie oto wywody (cytaty w cudzysłowie wzięte z encykliki):

> Celem małżeństwa jest utrzymanie życia ludzi na ziemi. Ale to mało. „Rodzice chrześcijańscy powinni zrozumieć, że powołaniem ich nie jest tylko rozszerzanie i zachowanie życia ludzi na ziemi. Nie są oni nawet przeznaczeni do tego, by kształtować czcicieli Boga. Ale mają oni za zadanie dać dzieci Kościołowi, obywateli społeczeństwu, świętych i przyjaciół Bogu“..

Oczywiście tu „chrześcijański“ rozumieć należy „rzymsko-katolicki“, a „Kościół“ — „Kościół rzymsko-katolicki“, wątpić bowiem bardzo należy, iżby papież, uznając jedynozbawczość tylko rzymskiego katolicyzmu, uważał za celowe mnożenie się wyznawców innych kościołów chrześcijańskich tak ostro zwalczanych, jak n.p. ewangelików różnego gatunku, lub „narodowców“ (wyznawców polskiego Kościoła Narodowego), Marjawitów i t.p.

W innem miejscu tegoż artykułu czytamy:

> Ojciec św., wychodząc z założenia, że w grupie społecznej musi być jakiś porządek - a mianowicie „porządek miłości“ — wskazuje, że hierarchja domowa winna być następująca: małżonek władcą, żona poddaną. „Porządek wymaga, aby mąż miał pierwszeństwo przed żoną i dziećmi, oraz by żona była ochotnie poddana i spontanicznie posłuszna. Apostoł zaleca to w następujących słowach: Żony niechaj będą poddane mężom swym, jako Panu, albowiem mąż jest głową żony, jako Chrystus jest głową Kościoła“.
>
> Zasada ta — powtórzona za św. Pawłem — doznała jednak w encyklice dużego złagodzenia przez interpretację, jaką do niej sam Ojciec Św. podaje.

Papież więc poprawia św. Pawła. Oczywiście, nie dlatego, że życie świeckie nie poszło śladami przepisu św. Pawła, tylko dlatego, że więcej wierzy w niemożność zawrócenia współczesnej kultury na poziom kultury epoki św. Pawła, niż we własną nieomylność...

I jeszcze drobiazg. Ks. Mirek w zacytowanym wyżej ustępie, zdaje się, coś dodał od... siebie, gdyż odnośny ustęp encykliki w tłumaczeniu ks. biskupa St. Okoniewskiego (wydanie Katolickiej Agencji Prasowej, Warszawa 1931) brzmi jak następuje:

> Rodzice chrześcijańscy niech zastanowią się również nad tem, że zadaniem ich jest nietylko rozradzenie i zachowanie rodzaju ludzkiego na ziemi, a nawet nietylko wychowywanie pewnej ilości czcicieli Boga prawdziwego, lecz powiększenie liczby dzieci Kościoła Chrystusowego, zrodzenie mieszkańców niebiańskich i domowników Bożych, by lud służbie Boga i Chrystusa poświęcony z dnia na dzień się pomnażał (str. 11).

Otoż ks. Mirek pomiędzy „dzieci Kościoła (Chrystusowego)" a „mieszkańców niebiańskich", t. j. „świętych" wstawił „obywateli społeczeństwa". A jest to nie bez znaczenia, łagodzi bowiem jednostronność tamtoświatową w sformułowaniu encykliki.

*

* *

Kiedy sprawa pomnika Wilsona z fundacji Paderewskiego stała się w Poznaniu aktualną, ukazał się w bogobojnym „Dzienniku Poznańskim" (nr. 93 z dn. 23 kwietnia 1931 r.) następujący artykuł p. Jana Kowalskiego, który tu w całości podajemy jako „rarytet" swego rodzaju.

„Obecnie jest dyskutowana kwestja wyboru miejsca pod pomnik Wilsona w naszem mieście. Pozwolę więc sobie poruszyć tu inną, bardziej zasadniczą kwestję: czy wogóle można stawiać pomnik Wilsona w Poznaniu?

Nasuwają mi się pod tym względem poważne wątpliwości, a to z powodów następujących. Poznań jest miastem katolickiem. Czy godzi się więc tu stawiać pomnik, a więc oddać hołd publiczny człowiekowi, który był masonem, należał do organizacji, której celem i dążeniem jest zwalczanie katolicyzmu?

Przyznaję, że Polska ma wiele do zawdzięczenia prezydentowi Wilsonowi, czy to jednak wystarcza, aby oddać publiczny hołd temu, który należał do organizacji tak bardzo wrogo względem kościoła usposobionej?

Zwłaszcza tu, w Poznaniu, zwalcza się ze zrozumiałą zupełnie planowością wszelkich masonów jawnych i ukrytych. Jakże teraz będzie wyglądał hołd publiczny, złożony jednemu z nich?

O ile wiem, dogmatyka katolicka nakazuje wielką rezerwę w stosunku do ludzi, którzy jawnie byli wrogami Kościoła, choćby oni należeli do najbliższych nam osób. Mistrz Paderewski, fundator pomnika, jest człowiekiem o najszlachetniejszem sercu, lecz jak każdy artysta, postępuje impulsywnie. Dlatego też pod wpływem uczucia wdzięczności chciał w ten sposób oddać hołd wielkiemu Amerykaninowi. Jednakże sfery katolickie powinny ten projekt dobrze przemyśleć, rozważyć, aby potem nam nie robiono zarzutów, że zwalczając masonów, u siebie jednemu z nich hołd publiczny oddajemy.

Dobrzeby było, żeby nasze sfery katolickie, jedynie miarodajne do rozstrzygnięcia tej kwestji, zechciały tu zabrać głos i wyjaśnić poruszone wątpliwości, które zresztą lojalnie poddaję pod dyskusję."

Rzecz komentarza nie potrzebuje!

Dokumenty

Niezwłocznie po ostatniem posiedzeniu Zarządu Głównego, sekretarjat generalny przesłał do biura Międzynarodówki w Brukseli nazwiska delegatów polskich na Kongres Berliński, oraz odpis rezolucji Zarządu Głównego w sprawie stanowiska, jakie delegaci nasi zajmą na Kongresie, wraz z krótkiemi motywami, uzasadniającemi nasz pogląd na samą sprawę połączenia się z Międzynarodówką Proletarjacką.

W odpowiedzi na powyższy komunikat otrzymaliśmy oficjalny list (z dn. 30 lipca r. b.) od Zarządu Międzynarodówki Brukseslkiej, z którego przytaczamy poniżej ustęp, mogący zainteresować naszych czytelników:

„W Berlinie zostaną ustalone podstawy bądź połączenia, bądź współpracy, bądź współdziałania, lub — być może — zjednoczenia. — Jesteśmy tutaj wszyscy w tym samym nastroju umysłu, co i wy, i wszystkie nasze związki (wchodzące w

skład Międzynarodówki Brukselskiej) najzupełniej są z tem zgodne."

Dla wyjaśnienia sytuacji musimy dodać, że w motywach, przesłanych do Brukseli, została zaznaczona obawa, aby połączenie się z Międzynarodówką Proletarjacką nie poddało Myśli Wolnej pod hegemonję partji politycznej, co mogłoby z jednej strony wpłynąć na obniżenie poziomu naszej idei, z drugiej zaś strony — zniechęcić do współpracy z nami ludzi, nie opierających swej ideologji na teorji walki klasowej.

W dniu 10 b. m. sekretarz generalny P. Z. M. W. wystosował do Zarządu Koła Warszawskiego następujące pismo:

Redakcja „Wolnomyśliciela Polskiego" zawiadamia w numerze 18 z dn. 1 sierpnia r. b., iż w dniu 27 b. m. odbędzie się ogólne zebranie członków Koła Warszawskiego P. Z. M. W., na którem to zebraniu mają być wybrani delegaci Koła Warszawskiego na Kongres Berliński.

Zgodnie ze ścisłem brzmieniem naszego Statutu ani Zarządy ani Ogólne Zebrania poszczególnych Kół nie mają żadnych uprawnień do reprezentowania P. Z. M. W. wobec osób trzecich, w danym wypadku — wobec Kongresu Międzynarodowego. W Kongresie tym udział biorą delegaci Związków, wchodzących w skład obydwuch Międzynarodówek, Brukselskiej i Wiedeńskiej, oraz przedstawiciele Związku Stow. Prolet. Wolnom. Niemieckich. Ponieważ P. Z. M. W., jako całość, jest członkiem Międzynarodówki Brukselskiej, reprezentować go mogą na Kongresie tylko delegaci, wybrani przez Zarząd Główny; poszczególni zaś członkowie Kół P. Z. M. W., którzy mogliby być obecni na Kongresie, co zresztą jest bardzo pożądane, mogą brać w nim udział tylko w charakterze osób prywatnych.

Nieobecność członków Zarządu Głównego w Warszawie uniemożliwia mi zwołanie w tej sprawie posiedzenia Z. G., uprzejmie więc proszę Zarząd Koła Warszawskiego o wzięcie pod uwagę powyższego wyjaśnienia czysto rzeczowego i o powstrzymanie się od udzielania komukolwiek mandatu na Kongres.

Z wolnomyślicielskiem pozdrowieniem
Sekretarz Generalny P. Z. M. W.
JÓZEF LANDAU

Treść poprzedniego numeru.

Prenumerata „Racjonalisty“

rocznie · zł. 4.— | zagranicą dol. 1.— rocznie
kwartalnie „ 1.— | numer pojedynczy—40 gr.

Adres Redakcji i Administracji:
Warszawa, ul. Poznańska 14, telefon 726-55. Rachunek czek. P.K.O. 13 214.

Redaktor i Wydawca — Józef Landau

Skład: „Zjednoczeni Drukarze“. Druk: „Bristol“ Elektoralna 31.